

Miałam wrażenie, że podróż z Pragi do Krakowa trwa całe moje życie. W lutym raz ścinał mróz, raz przeciążone wozy stały godzinami w wodzie po osie. Mimo surowej i kapryśnej pogody ludzie wylegali tłumnie na trakt, by zobaczyć towarzyszący mi orszak nieprzebranej masy dworzan i cesarskiego *splendidi apparatus*¹.

Na ostatnie godziny przed Krakowem chciałam zostać sama. Muzykom już wcześniej kazałam schować się w ciepłym miejscu, bo żal mi było ludzi, choć ponad wszystko pragnęłam ciszy. Aksamitne purpurowe wnętrza nie chroniło przed wilgocią i mimo starań służby w środku coraz bardziej cuchnęło mokrym zwierzem. Podniosłam się z miękkiego posłania i przysiadłam pod ścianą skrzypiącego wozu. Odsunęłam warstwy barwnych kobierców i ostrożnie wyjrzałam na zewnątrz. Brunatny krajobraz przypominał płytkie, bure jezioro. Zdrożone wierzchowce, dźwigające na grzbiecie milczących i równie wyczerpanych dworzan, obojętne na wartość swoich kropierzy² nurzały je w szarym błocie. Jakby ziemi mało było wody, znowu zaczęła padać deszcz. Spojrzałam w szare niebo i chciwie wystawiłam twarz na orzeźwiająco mokre szpilki.

Ja, Elżbieta Habsburg, córka zmarłego przed piętnastoma laty króla Węgier i Czech, księcia Austrii, cesarska wnuczka, byłam

¹ *splendidus apparatus* (łac.) – wspaniały przepych [wszystkie przypisy pochodzą od autorki]

² kropierz – ozdobna, cenna końska kapa

narzeczoną, jak mi powiedziano, miłego, sepleniącego i łysiejącego króla Polski, wielkiego księcia Litwy, Kazimierza Jagiellończyka. Jechałam na nasz ślub i tego właśnie dnia miałam zostać królową Polski. Mimo że płynęła we mnie odrobina świętej piastowskiej krwi, ziemia ta znana mi była jedynie z kart ksiąg i opowieści świątłych mężów.

Sięgnęłam po welinowy³ modlitewnik, okryłam się ciepło i zaczęłam przewracać lśniące złotem karty. Byłam zmęczona, na dodatek niemal u kresu podróży nieoczekiwanie orszak wstrzymano na trzy dni. By dokończyć przygotowania w Krakowie, tak mówiono... Jednak spłoszone spojrzenia Polaków i wyłowione z szeptów słowa na skawińskim dworze powiadały co innego. A ja od dawna nie miałam co do siebie złudzeń.

– Niezwykłe, jak cenione jest ciało, które się wyróżnia, ale jak w końcu spokój w obcowaniu przynosi to, które nie wyróżnia się niczym – powiedziałam w przestrzeń.

Plecy tamtego dnia bolały mnie bardziej niż zwykle, do tego deszcz padał coraz mocniej. Wygrzebałam się z futer, obfitej materii nad podziw strojnej szaty, i ucałowałam go wcześniej z czcią, odłożyłam nieczytany modlitewnik. Ułożyłam stopy wysoko na oparciu miękkiego siedziska i zaczęłam liczyć perły na atlasowej sukni. Kiedy usłyszałam krótki dźwięk trąbek, natychmiast zdjęłam nogi. Rozróżniłam kilka podniesionych męskich głosów i jeden wyraźnie wzburzony – niewieści. Zdążyłam godnie usiąść w chwili, kiedy *cubicularius*⁴ zamasyżuje odsłonił wejście. Inny sługa nabrał mocno powietrza i wykrzyczał doniośle:

– Zofia, księżniczka litewska, królowa Polski!

³ welin – pergamin wysokiej jakości

⁴ *cubicularius* (łac.) – konny dworzanin i ochrona królewska podczas podróży

Szybko przyglądałam suknię. Że też odesłałam całą służbę! Jego matka! We własnej osobie? A on nie wyjechał po mnie? Nie zdążyłam pomyśleć, co to oznacza, kiedy zobaczyłam najpiękniejsze czarne oczy w najładniejszej dojrzałej twarzy, jaką kiedykolwiek widziałam w swoim osiemnastoletnim życiu. Ciemnowłosa strojna piękność z pierwszymi śladami siwizny wsunęła się zgrabnie do wilgotnego wozu i zwróciła się do mnie przyjaźnie w jakimś śpiewnym języku.

Za nią usiadła bardzo szczupła młoda kobieta.

– Pani, królowa Zofia wita cię i każe przekazać, że na pozostałą część podróży zaprasza do swojego powozu – przetłumaczyła na niemiecki.

Nie zdobyłam się na żadną odpowiedź. Onieśmielona zachowaniem królowej i podnieconym tłumem na zewnątrz, nagle zdałam sobie sprawę, że opuszczając tę nieustannie trzeszczącą purpurową skrzynię, zrywam ostatnią nić łączącą mnie ze znanym mi światem.

Z łomoczącym sercem i niepewnym uśmiechem skłoniłam się najpiękniej, jak umiałam. Zapanowała niezręczna cisza, ale już po chwili służba zabrała się za moszczenie nas w malutkim, lekkim i suchym reywanie⁵ królowej Zofii. Piękna pani nieoczekiwanie ujęła moje lodowate dłonie w swoje ciepłe ręce i przez całą drogę nie przestawała się do mnie uśmiechać. Jechaliśmy coraz wolniej wśród napierającej zewsząd ludzkiej ciżby, aż wreszcie purpurowo-złoty wóz zatrzymał się.

– Oto cel twej podróży, pani, Wawel – powiedziała tłumaczka.

Kiedy wysiadłam, dźwięk potężnych trąb uderzył we mnie boleśnie. Nogi miałam zdrętwiałe i cały świat chwiało się, jakbym wciąż jechała. Spojrzałam w górę. Przedemną pięło się małe miasto na wzgórzu.

⁵ reywan (rydwan) – rodzaj lekkiego powozu

Deszcz natychmiast zalał moje misternie ułożone długie włosy, przyklejając je do czaszki. Cała suknia tak nasiąknęła wodą, że nie mogłam jej unieść nawet z pomocą czterech dwórek, równie mokrych jak ja. Dziki tabun koni w mojej głowie dudnił tak mocno, że nie słyszałam, co kto do mnie mówi. Nawet życzliwa królowa była jedynie niewyraźnym cieniem wśród innych cieni. Słyszałam tylko ten straszny tętent. Spoglądałam przed siebie. On tam czekał – wysoki, ciemnowłosy, odziany w królewską czerwień i klejnoty. Szłam po namokniętych zimnych kobiercach, starając się trzymać głowę wysoko. Tabun przyspieszał. Dudnił.

Na mój widok król Kazimierz obejrzał się za siebie, jakby chciał uciec. Przejechał dłonią po łysiejącej głowie i ze świstem wypuścił powietrze. W języku Cycerona wycedził formułę powitania i... oddalił się!

Stałam bezradnie z twarzą mokrą od deszczu i drżałam z zimna. Patrzyłam w ślad za człowiekiem, któremu powierzyłam swe ciało i ducha, a który mną wzgardził i zostawił mnie samą! Jednak czyż nie tego się spodziewałam? Przecież byłam na to gotowa!

Łykałam wymieszany z ciepłymi łzami zalewający mi usta lodowaty deszcz. Czułam, jak tysiące ciekawskich oczu odciskają gorące piętno na mych plecach i jak z każdym oddechem widowisko coraz bardziej im się podoba. Zaraz wszyscy zaczną się śmiać! Zacisnęłam powieki. Wreszcie ktoś litościwie podał mi rękę i sprowadził mnie z podestu, ktoś inny przywitał u drzwi katedry. Weszłam w jej ciemność bez narzeczonego u boku.

Po złożeniu darów w wawelskiej świątyni sztywna z upokorzenia wypłynęłam wraz z tłumem na zewnątrz i trwożnie rozjeżdżałam się wokół. W towarzystwie dzwonów, trąbek i piszczałek poprowadzono mnie przez wielki dziedziniec, potem mniejszy, z ciasno upchanymi budynkami, po łuku spiętymi krużgankami. Nieoczekiwanie uderzył mnie zapach jadła. Od rozkosznego aromatu pieczonego mięsa ślina napłynęła mi do ust i aż zakręciło

mi się w głowie, bowiem jako przykładna narieczona pościłam już trzeci dzień.

Część orszaku wspięła się na solidne drewniane krużganki; mnie poprowadzono w stronę smukłych budynków o ostrych szczytach i koronkowych okładzinach. Po kamiennych schodach kroczyłam powoli w stronę mojego nowego domu. Na piętrze pachniało deszczem i świeżym wapnem.

W towarzystwie królowej wprowadzono mnie do komnaty szczerze rozświetlonej świecami i mocno skropionej sosnowym olejkiem. Czułam, jak przyjemne ciepło odkleja od mojego ciała przemoczone szaty. Starsza, rumiana kobieta dość obfitych kształtów ponagłała służki, chyba po polsku. Królowa, która rozsiadła się już na rzeźbionym krześle z wysokim oparciem, w skupieniu obserwowała czynności w sypialni. Krótkie rozkazy i szepty urwały się nagle, kiedy zwinne dziewczęta zrzuciły ze mnie suknie i koszule. Przerażone przyglądały się mojej zniekształconej sylwetce. Stałam nieruchomo i ze łzami w oczach patrzyłam przed siebie.

Niestety mojej młodości Bóg podarował ciało staruszki. Przez duży garb miałam nieruchome plecy. Dla równowagi nosiłam głowę pochyloną na prawe ramię, przez co lewa część twarzy była wyraźnie większa. Głowę miałam bardzo wąską, oczodoły wydłużone, a przednie zęby tak wypchnięte w przód, że prawie płasko wystawały z górnej szczęki, przez co nigdy nie mogłam ich ukryć w ustach... Spiczaste łokcie, nienaturalnie duży brzuch i przydługie ręce również nie dodawały mi urody. Miałam jeszcze wystający podbródek, ale tylko troszeczkę.

Jak zawsze, widziałam w niektórych twarzach odrazę, a w innych współczucie. I jak zawsze nieodmiennie czułam wstyd. Zaczęłam znowu drzeć i próbowałam zasłonić pierwszy raz gładko wygoloną płeć. Panny z wiedeńskiego dworu, wielka Erika i miedzianowłosa Dorika, podeszły pierwsze i ze spokojem zaczęły wycierać moje członki i mokre włosy. Nie chciałam, by pozostałe kobiety z mojego powodu czuły się niezręcznie.

– Nie potrzebuję zwierciadła, wasze twarze mówią wszystko – próbowałam zażartować. Uśmiechnęłam się nieśmiało, jak zawsze ściągając po tym usta.

Królowa zmarszczyła doskonale brwi, wstała, uniosła swoją migoczącą od szmaragdów suknię i powoli podeszła do mnie, dzwoniąc ciężką biżuterią. Jakaż była wysoka!

Spuściłam wzrok, gotowa na obelgę i odesłanie do Pragi. Jednak ona ostrożnie zdjęła z mojego otartego do krwi barku twardą deskę, za pomocą której od lat dwór wiedeński wyrównywał mi krzywe ramiona. Zofia z odrazą rzuciła ją w kąt, chwyciła rąbek koszuli i opatrzyła ranę. Dwórki, szepcząc do siebie, pomogły mi ostrożnie ułożyć się w łóżu. Królowa dyskretnie włożyła mi w usta kawałek sera, a ja łakomie wepchnęłam go głębiej. Jego doskonały smak rozlał się rozkoszą po wygłodniałym ciele i przytępił przenikający mnie ból. Zasnęłam natychmiast, nie dopuszczając do siebie żadnych myśli.

*

Wczesnym rankiem, kiedy jeszcze panował mrok, a oczy piekły mnie z niewyspania i od kopcących łojowych lampek, okazało się, że przydzielono mi trzy zgrabne komnatki obok komnat króla. Nie mogłam się powstrzymać od spoglądania na nieotwierane od wczoraj tajemnicze drzwi. Grupa niemych dwórek rozpoczęła ubieranie mnie i upinanie jasnych, wciąż mokrych włosów, które były tak gęste, jakby chciały zadośćuczynić za inne braki. Na krzywy bark położono mi mięciutką poduszeczkę. Z przyjemnością pieściłam podłogę bosymi stopami, kiedy ogrzane powietrze przenikało z dołu przez szczelinę między kamiennymi płytami.

Wreszcie gotowa, w ciężkiej, purpurowo-zielonej aksamitnej sukni skrzącej się od rubinów i szmaragdów, usiadłam w największej chyba z moich komnat w oczekiwaniu na ochmistra dworu. Kilkunastu nieznanym mi ludzi siedziało na bogato rzeźbionych drewnianych ławach po obu stronach sali w dwóch rów-

nych rzędach. Z kamiennymi twarzami patrzyli milcząco w moje oblicze. Wiedziałam, że od teraz wszyscy będą na mnie patrzeć. Surowe postaci z barwnych ściennych malowideł potęgowały mnogość nieprzyjemnych wrażeń. Jedynie masywna jednoręka kolumna wspierała mnie, wyciągając swoje giętkie palce, by trzymać nade mną ciężki sufit.

Wstające słońce przez chwilę wypalało mi dziurę w plecach. Siedziałam zapatrzona w nieruchome drzwi naprzeciwko, ścisnęłam małą jedwabną chusteczkę i czułam, jak płoną mi policzki. Co chwilę podskakiwałam, bo wydawało mi się, że słyszę zbliżające się głosy. Postaci na zewnątrz przybliżały się jednak tylko po to, żeby minąć moją sień i podążyć dalej. Było mi coraz goręcej. Siedziałam, prosząc raz po raz o piwo najbliższej siedzącej damy. Śwędzący pot spływał mi po szyi, spróbowałam odsunąć z czoła sztywną chustę ze złotogłowiu⁶ i przypiętą pod nią złotą siatkę. Ciężki szpiczasty hennin⁷ z długim trenem niewygodnie odchyłał mi głowę do tyłu. Plecy mnie piekły, miałam wrażenie, że czart wbił mi tam rozgrzany do białości sztylet i kręci nim z diabelską przyjemnością.

Słońce miało się ku zachodowi, a ja już nie czekałam na swój ślub. Z każdą mijającą chwilą byłam coraz bardziej pewna, że zostanę odesłana do brata, i z każdym mrugnięciem oka oczekiwałam uprzejmego posłańca z uprzejmą mową od króla, po której sama uprzejmie nakażę pakowanie. Najlepiej wyruszyć pod osłoną nocy...

Dworzanie zaczęły szeptać i wiercić się na twardych ławach. Ja zaś prawie zapadłam w sen, wtedy jednak weszła szczupła tłumaczka, jak zdążyłam się zorientować, Katarzyna, zaufana królowej Zofii. Przyniosła nowy dzban piwa i skłoniła się zgrab-

⁶ złotogłów – tkanina przetykana złotem o jedwabnej osnowie

⁷ hennin – wysoki czepiec w kształcie stożka

nie. Dworzanie rzucili się do napitku, bardziej by rozprostować kości niż z pragnienia.

– Proszę, wyjaśnij mi, co się tutaj właściwie dzieje? – szepnęłam jej do ucha zaniepokojona, podniósłszy się z siedziska.

– Słyszałam, że uroczystość odwleka się, bo duchowni nie mogą uzgodnić, kto ma odprawić ceremonię – odpowiedziała, zmieszana, równie cicho.

– Co takiego?

– Tak słyszałam, pani – odparła zarumieniona.

– Zaprowadź mnie do królowej – wydałam stanowcze polecenie. Dworzanie popatrzyli na mnie zaskoczeni.

Kiedy ujrzałam ciekawskie spojrzenia dostojnych gości szepczących w grupkach na piętrze i wypełniających dziedzińce, znużonych oczekiwaniem w komnatach, a równie jak ja od dawna gotowych na ceremonię, cofnęłam się z krążganków do sieni. Odruchowo schowałam twarz za nieprzejrzystą chustą.

– Czy mogłabyś... – zwróciłam się niepewnie do Katarzyny.

– Ależ tak... – Dwórka od razu zrozumiała moje obawy i poprowadziła mnie oraz Erikę krętymi wewnętrznymi schodkami w stronę komnat królowej Zofii.

Tam jej nie zastałyśmy, ale kolejnymi wąskimi stopniami poprowadzono nas do małej kaplicy. Kiedy weszłam w jej mrok, widziałam tylko czarne ludzkie cienie. Usłyszałam szelest sukien. To fraucymer⁸ królowej zerwał się jak spłoszone stado ptaków. Ich wyszeptane powitanie odbiło się po wielokroć od ceglanych ścian. Wszystkie równo złożyły głęboki ukłon. Odpowiedziałam im, mam nadzieję, z taką samą gracją. W plamie pomarańczowego światła padającego z wąskiego okienka ukazała się królowa ubrana w czerwień. Mimo że zaskoczona wizytą, przywitała mnie z wielką serdecznością.

– Musze cię przeprosić... – Westchnęła i pocałowała mnie głośno w oba policzki.

⁸ fraucymer – grupa panien i matron towarzyszących królowej

– Miłościwa pani, może będę mogła pomoc – powiedziałam i znowu złożyłam ukłon.

Katarzyna dyskretnie tłumaczyła. Królowa gestem zachęciła mnie, abym mówiła dalej.

– Ilu występuje w sporze? – zapytałam.

– Dwóch. Kardynał Oleśnicki i arcybiskup gnieźnieński Jan ze Sprowy – padła z głębi ciemnej kaplicy odpowiedź po niemiecku udzielona męskim głosem.

To był głos króla. Odwróciłam się gwałtownie. Zbliżył się do mnie, jego surowe spojrzenie uderzyło mnie z mocą młota. Ciężki od drogich kamieni niewygodny ślubny dublet⁹ wisiał na nim, niedbale rozpięty. Zapewne król nosił go od rana, tak jak ja swoją suknię.

– Czy nikt inny nie może odprawić ceremonii? – Odważyłam się spojrzeć w kościstą i ciemną twarz przyszłego męża.

Pokręcił głową, skrzyżował ramiona i zatrzymał wzrok na swych nowych ciźmach.

Zapatrzyłam się w ostatnie nitki światła i zmrużyłam oczy.

– Wiem! – wykrzyknęłam uradowana. – Doniesiono mi, że gości w Krakowie wielki Jan Kapistran, czy on nie mógłby udzielić ślubu i zaradzić w sporze?

Patrzyłam z wyczekiwaniem w stronę króla. Przecież on mnie nie chce! Prawda znana mi od wczoraj dziś zaboląla mocniej, jak uderzenie w łokieć.

Jednak Kazimierz, zaskoczony, rzucił mi krótkie spojrzenie i opuścił ręce. Po chwili odwrócił się do kogoś, kogo nie widziałam, i wydał cicho dyspozycje.

Katarzyna tłumaczyła moje słowa swojej pani, a Zofia słuchała z zainteresowaniem.

⁹ dublet – kaftan, obcisły spodni ubiór męski sięgający bioder

– Ha! – Wzniosła dłonie, kiedy Katarzyna skończyła. – Może dzięki tobie zakończymy to pasmo hańby – dodała, uśmiechając się do mnie, na syna zaś spojrzała z wyrzutem.

Kiedy wychodziłam, czułam na plecach wzrok obojga. Spróbowałam choć odrobinę się wyprostować.

Katedra zadrżała od nabożnych głosów *capellae regiae*¹⁰, a wystraszony Jan Kapistran zmierzał już w naszym kierunku, kiedy kardynał chwycił go mocno za ramię i ściągnął ze stopni ołtarza. Szmer oburzenia rozszedł się po świątyni. Wytężyłam wzrok i słuch. Niewiele widziałam przez ślubny welon. Jan, wciąż trzymany za rękaw, kiwnął głową i na wyszeptane pytanie Oleśnickiego odpowiedział z ulgą: „Nie, nie znam niemieckiego”, i czym prędzej się oddalił. Kardynał otarł z odrazą ręce o cenną szatę i zbliżył się do nas przez nikogo nie niepokoiony. Złożył dłonie do modlitwy i z zadowoleniem spoglądał na klęczące królestwo.

Spóźniona ceremonia odbyła się w nieskładnym pośpiechu. Kardynał ze skupioną twarzą udzielał ślubu, a urażony arcybiskup gnieźnieński koronował mnie na królową Polski. Ja nie nadażałam, a pobladły król ani razu nawet na mnie nie spojrzał.

Oboje, krocząc obok siebie, zmęczeni poprowadziliśmy orszak na ucztę weselną. W ogromnej sali było bardzo duszno. Zwisających pod wysokim, niemal katedralnym sklepieniem kolorowych kitajskich tkanin¹¹ nie poruszał najłżejszy nawet podmuch. Przez barwione szkło w niebosiężnych strzelistych oknach zaglądał kolorowy księżyc.

Usadzono nas pod baldachimem jako parę królewską i witano po raz kolejny. Podano ręczniki, wodę do mycia rąk i złoty koszyk z kawałeczkami chleba. Wniesiono pierwszą potrawę. Przed nami przy dźwięku fanfar postawiono spieczonego na czarno jelenia z wieńcem mirtu w potężnym porożu. Wyglądał jak spętana,

¹⁰ *capella regia* (łac.) – tutaj: duchowni w służbie króla

¹¹ kitajska tkanina – chiński jedwab